



JAKUB SZAMAŁEK

COKOLWIEK

WYBIERZESZ

To jest darmowy fragment powieści.

Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ 1

Co za czasy, pomyślał Czesław Komar, patrząc w lusterko wysłużonego mercedesa. Kiedyś to można było z pasażerem porozmawiać. Czasem o ważkich sprawach, czasem, co tu dużo mówić, o duperelach, ale jednak ludzki kontakt był, jakaś więź. A teraz to nic, tylko gapią się w te telefony, jakby go tu w ogóle nie było, jakby taksówka sama się prowadziła. Ten tu się słowem nawet nie odezwał, bo i po co. Siedzi i smyra tę komórkę, jakby chciał w niej dziurę zrobić, a wygląda, jakby od tygodnia nie spał. No nie wytrzymam.

– No i co pan takiego ciekawego robi na tym telefonie?

Pasażer milczał. Głuchy jakiś? Czy może zagranicznik?

O tym nie pomyślał, a w końcu wygląda jakoś nieswojo.

– Można powiedzieć, że puszczam muzykę – odpowiedział w końcu mężczyzna, chociaż wzroku od ekranu nie oderwał. – Proszę trochę zwolnić.

Muzykę, zdziwił się Czesław Komar, naciskając lekko hamulec, to czemu nic nie słychać? A słuchawek przecież nie ma. To co, w głowie mu leci, kabel sobie tam wsadził? Ale nie zadawał więcej pytań. W głosie mężczyzny było coś, co odbierało chęć na dalszą rozmowę.

Leon Nowiński czuł, że dno woreczka, w który owinięty był hot dog, przesiąka sosem. Jeszcze chwila, a zacnie przeciekać

i pobrudzi mankiet wyprasowanej starannie koszuli. Leon wpakował resztę bułki do ust, z trudem je domykając, po czym rzucił lepkie od musztardy opakowanie na podłogę i wytarł dłoń o fotel pasażera. Ostatni raz, powiedział sobie w myślach, przełykając mdłą papkę, ostatni raz przestawiłem budzik na drzemkę.

– Halo, halo, Warszawa! – zawołał wesoły głos z radia. – Jak tam, jesteście już w pracy? Mam nadzieję, że tak, bo ruch na dojazdówkach coraz większy! Gęsto jest już na Marsa i Puławskiej, tam straciecie co najmniej piętnaście minut. Zdjąć nogę z gazu trzeba też na alei Prymasa Tysiąclecia...

Słyszając znajomą nazwę, Leon odruchowo spojrzął, co dzieje się po drugiej stronie jezdni. Rzeczywiście, aleja już się korkowała. Setki samochodów sunęło w stronę odległego centrum w iście lodowcowym tempie, trąbiąc wściekle na auta wpychające się z podporządkowanych ulic.

Całe szczęście, Leon jechał w przeciwnym kierunku, na Targówek i Żerań, ku otynkowanym na budyniowe kolory blokowiskom i rozpadającym się fabryczkom, które służyły za siedziby niewielkim firmom z nazwami kończącymi się na „ex” i „pol”. Leon pracował dla jednej z nich, Diet-Polu. I jeśli wierzyć wyliczeniom GPSu, dotrze na miejsce o 07:59. Czyli wpadnie na spotkanie zziajany, ale na czas.

Leon rozpędził swoją wierną skodę (rocznik 1996, kolor karnarkowy, choinka zapachowa przy lusterku) i wjechał na S8. Łopotwały plandeki ciężarówek, zza szarych ekranów akustycznych wystawały krzyże i płaczące anioły z cmentarza wojskowego, kładką jechali rowerzyści w odblaskowych kurtkach. Leon szybko przebił się na lewy pas. Prędkościomierz wskazywał 110, po chwili 120 kilometrów na godzinę – 30 kilometrów ponad limit prędkości.

Leon zaklął pod nosem. Nie znosił łamać przepisów. Żeby jeszcze było w imię czego, żeby to spotkanie było ważne. Ale Diet-Pol to przecież nie szpital, gdzie szykowano przeszczep

serca, ani nawet kancelaria, w której ustala się właśnie linię obrony niesłusznie oskarżonego klienta. Nie, Diet-Pol był producentem niskokalorycznych przekąsek i napojów, a tematem dnia była nowa etykieta dla soku z kiszonej kapusty, którą Leon miał zaprojektować. Ostatnia wersja nie spodobała się szefostwu. „Zbyt przasna”, powiedział Michał, zajmujący szumnie brzmiące stanowisko product managera, „potrzebujemy czegoś nowoczesnego, wiesz, młodzieżowego”. Młodzieżowy sok z kapusty, Leon skrzywił się na wspomnienie. Zaprawdę, cywilizacja Zachodu upada.

Żółta skoda wjechała na most Grota-Roweckiego. Leon spojrział w stronę Śródmieścia; wieżowce otaczające wianuszkiem Pałac Kultury były ledwie widoczne. Gęstniejący z dnia na dzień smog zwiastował niechybne nadejście jesieni dobitniej niż czerwieniące się liście.

Leon skręcił w zjazd w Jagiellońską – i aż podskoczył, słysząc za plecami głośnie, przeciągłe trąbienie. Tuż za nim jechał potężny samochód terenowy; czarny matowy lakier, tablice rejestracyjne z indywidualnym numerem, „WO MIGDAL”. Znów zaryczał klakson, mrugnęły długie światła – międzynarodowy sygnał „zjedź mi z drogi” i „jestem dupkiem”.

– No przecież widzisz, że obok jest autobus, kretynie! – krzyknął Leon, mrużąc oczy przed ostrym światłem. – Gdzie mam niby zjechać, co?!

Trąbienie i mruganie nie ustawało. Leon co do zasady był miłym, przyzwoitym facetem: przytrzymywał windę nieznanym, i to nawet kiedy się śpieszył, dawał na WOŚP, kupował wyłącznie jaja kur z wolnego wybiegu. Ale teraz to się zagotował.

– W dupę mnie pocałuj, buraku! – warknął, po czym otworzył okno i wystawił dłoń z wyprostowanym środkowym palcem. W lusterku widział, że kierowca jeepa, facet koło pięćdziesiątki, w modnej polarowej bluzie z asymetrycznym kołnierzem, wrzeszczy i wali pięścią w deskę rozdzielczą. Leon uśmiechnął się z satysfakcją. A krzycz sobie, baranie.

Terenówka ryknęła, przyspieszyła i niebezpiecznie zbliżyła się do skody, prawie trąc o zderzak. Leon docisnął pedał gazu do podłogi, ale jego auto nie mogło konkurować z czarnym monstrem, które zdawało się pędzić 200 na godzinę.

– O ja pierdołę... – jęknął Leon. – No wjedzie we mnie! Całe szczęście, kierowca jadącego obok autobusu musiał zauważyć, co się dzieje, bo gwałtownie zahamował, umożliwiając skodzie schowanie się na prawym pasie. Leon szarpnął za kierownicę i zjechał z drogi trąbiącemu jeepowi, o milimetry unikając kolizji.

Leon szukał telefonu w torbie, nie odrywając wzroku od oddalającego się auta. Klucze, karta do biura, książka, guma do żucia... Wreszcie wyczuł pod palcami szklaną taflę smartfona. Wyciągnął telefon, wbił trzy cyfry, 112, wcisnął zieloną słuchawkę.

– Czekaj no, ty bucu – burczał pod nosem Leon. – Jeszcze pożałujesz, że...

Głos uwiązł mu w gardle. Czarny jeep, zamiast skrócić, pojechał prosto, nie zwalniając, i uderzył z impetem w barierkę. Huk, zgrzyt, iskry. Wążące kilka ton auto rozerwało ogrodzenie, a potem spadło na ulicę Jagiellońską, roztrzaskując się o asfalt.

Leon zatrzymał skodę, bezwiednie, jak nakręcony mechanizm, i wysiadł z auta. Z niedowierzaniem patrzył na pogięty wrak leżący wśród pokruszonego szkła. Minął go kierowca autobusu – biegł z gaśnicą, jego czerwony krawat trzepotał na wietrze.

– Halo? Halo! – Zniekształcony kobiecy głos wyrwał go z osłupienia. – Tu numer sto dwanaście, proszę o podanie zgłoszenia!

– Chciałbym... – Leon przełknął ślinę. – Chciałbym zawiadomić o wypadku.

Julita Wójcicka wpatrywała się w litery na ekranie komputera. Te uparcie podświetlały się na zielono. Niedobrze.

– No, dalej, dalej... – szeptała, obracając w palcach obgryziony ołówek.

– Mówiłem ci. – Siedzący obok Piotrek upił herbaty, po czym otarł modnie przyszyrzyżone włosy. – Nawet nasi czytelnicy nie złapią się na tak bezczelny klikbajt.

– Ha! – Julita uniosła ręce nad głowę w tryumfalnym geście. – No to patrz!

Tło pod tytułem zmieniło kolor na czerwony. Czyli w ciągu ostatniej minuty co najmniej tysiąc internautów kliknęło w link i otworzyło artykuł Julity o dramatycznym tytule: „ILONA ZAJĄC POKAZUJE ZDJĘCIA W BIKINI: NIE BĘDĘ MILCZEĆ, KIEDY HEJTERZY WYZYWAJĄ MNIE OD GRUBASÓW [ZOBACZ ZDJĘCIA]”. To z kolei znaczyło, że tekst pójdzie na główną stronę portalu, zamiast wisieć jedynie w niszowym dziale „Kultura”.

Piotrek nic nie powiedział, westchnął tylko z teatralną przesadą i odwrócił się do swojego komputera. Julita rozumiała jego frustrację. Od tygodnia nie udało mu się wrzucić żadnego gorącego tekstu. Kolejne jego artykuły: „ZOBACZ, JAK ZMIENIŁY SIĘ GWIAZDY *KLANU*”, „MAKABRYCZNE ODKRYCIE GRZYBIARZA”, „MIŚ KOALA ZJEŻDŻA NA SANKACH”, podświetlały się na zielono, a czasem, o zgrozo, na niebiesko, co oznaczało już zupełną obojętność internautów. Co gorsza, Piotrek nad każdym tekstem siedział godzinami, bez końca zmieniając szyk zdań, szukając synonimów i niebanalnych zwrotów. Julita tymczasem przygotowała swój materiał o Ilonie Zajac w kwadrans, wliczając w to przerwę na papierosa.

Dziewczyna wstała od biurka, przeciągnęła się i podreptała do aneksu kuchennego. Z czerwonym tekstem na koncie nie musiała się już przepracowywać, właśnie wyrobiła dzienną normę. Zabulgotała woda w tandetnym, oblepionym kamieniem czajniku, kawa instant rozpuściła się we wrzątku, rozsiewając przyjemny zapach. Julita uniosła wściekle czerwony kubek

z fioletowym napisem MEGANEWSY.PL, upiła niewielki łyk i omiotła wzrokiem biuro.

Kilkanaście białych biurek, szumiące komputery, *klik, klik* myszek i niebieskie światło odbijające się w szklach okularów. Na ścianie dwa wielkie monitory, jeden wyświetlał główną witrynę portalu z nałożoną heatmapą, czyli kolorami wskazującymi popularność poszczególnych tekstów, na drugim leciał całodobowy kanał informacyjny. Na przeciwległym końcu trzy odgrodzone szklanymi ścianami pokoje (szefostwo, HR, informatycy), w kącie drukarka i skaner, za oknami: ulica Cybernetyki i zachmurzone niebo poprzecinane ażurowymi ramionami żurawi.

Julita inaczej wyobrażała sobie karierę dziennikarki. Marzyła o pracy w jakimś dużym tytule: „Wyborczej”, „Polityce”, „Newsweeku”. Burzliwe dyskusje na porannym kolegium, składanie wydania o trzeciej nad ranem, spotkania z politykami w gęstej od papierosowego dymu sejmowej restauracji, anonimowy informator w prochowcu przesuwający teczkę z kwitami po lepkiem barowym stoliku – te klimaty. Dostała się nawet gdzieś na staż, ale bezpłatny. Trzy miesiące przekładała papiery, porządkowała archiwum i moderowała internetowe fora, z nadzieją na to, że ktoś ją zauważy, weźmie pod swoje skrzydła. No, ale duże tytuły mają wielu stażystów, w tym złotą warszawską młodzież na garnuszku wpływowych rodziców. Na ich tle Julicie, dziewczynie z kaszubskiego Żukowa, w ciuchach z lumpeksów, trudno było się wybić.

Potem zobaczyła ogłoszenie z portalu Meganewsy.pl. Szukali dziennikarza do działu „Wydarzenia”, obiecywali młody zespół, konkurencyjne wynagrodzenie, delegacje. Nowoczesny biurowiec robił dobre wrażenie, redaktorka naczelna przeszła z nią od razu na „ty”, śmiała się z jej żartów. No, żyć nie umierać.

Oczywiście, kiedy zaczęła pracę, rzeczywistość okazała się mniej różowa. Dział „Wydarzenia” wbrew wyobrażeniom Julity nie zajmował się wcale takimi kwestiami jak, dajmy na

to, pożary w Grecji czy wybory samorządowe. Chodziło raczej o wydarzenia takie jak włożenie przez nieznaną szerzej aktorkę prześwitującej kreacji albo nowe selfie zwyciężczyni ostatniej edycji programu jakonicośćam. Innymi słowy, pracowała w internetowym brukowcu, który sukces mierzył wyłącznie odsłonami strony, czy raczej wyświetlanych tam reklam. A zespół? Faktycznie młody... i niedoświadczony. Pensje konkurencyjne jak na warunki branżowe, czyli nędzne, uzależnione od wyników i na umowę-zlecenie.

Ale Julita nie mogła narzekać, w przeciwieństwie do wielu innych koleżanek i kolegów z roku (dziennikarstwo i komunikacja społeczna na SWPS), rzeczywiście żyła z pióra. Nie była może szczególnie dumna z publikowanych tekstów, ale pisanie ich przychodziło jej z łatwością, miała do tego dryg. A poza tym... właściciel Meganewsów, koncern ITVV, miał w swoim portfolio wiele innych tytułów, także opiniotwórczych i powszechnie respektowanych, jak na przykład tygodnik „Poprzek”, którego biuro mieściło się piętro wyżej...

Julita dopiła kawę, umyła kubek starą, cuchnącą gąbką, której nikomu nie chciało się wymienić na nową, i wróciła do biurka. Siedząc po turecku na skrzypiącym krześle, ze słuchawkami na uszach, przeglądała profile gwiazdek drugiego i trzeciego sortu w poszukiwaniu nowego tematu.

Posterunkowy Radosław Gralczyk siedł po mokrym asfalcie, powoli rozwijając taśmę z napisem „POLICJA” wokół miejsca wypadku. Za jego plecami leżał wrak czarnego jeepa. Samochód zleciał na drogę z wysokości piętnastu metrów, obrócił się, spadł na bok. Kierowca nie przeżył. Nie mógł przeżyć.

Ale posterunkowy Radosław Gralczyk nie zwracał uwagi na wrak, na chrupiące pod ciężkimi butami szkło, na zapach oleju, benzyny i krwi. Po pierwsze, dlatego że pracował w drogówce trzeci rok i naoglądał się już wypadków, może mniej spektakularnych niż ten, ale jednak. Po drugie, był myślami gdzie indziej.

Ja pierdolę, zaklął, krocząc po lśniącym od niebieskiego światła kikutów asfalcie, i co teraz? Jego żona, Alicja, od jakiegoś czasu czuła się nieswojo. Bolała ją głowa, była ciągle śpiąca, nie miała apetytu. Z początku myśleli, że to jakaś grypa, jesienne przesilenie czy, powiedzmy, za dużo glutenu w diecie. Ale w końcu któreś z nich zadało pytanie, które obojgu obijało się już od jakiegoś czasu po głowach: co jeśli Ala jest w ciąży? Brała pigułki, więc szanse były znikome, ale... Kiedy wyszła tego ranka z łazienki, ze łzami w oczach, mnąc pasek szlafroka, wiedział już, co zobaczyła na teście: dwie kreski. A w międzyczasie Ala piła przecież alkohol, paliła papierosy, brała w cholerę leków... Potem wyczytali, że to mogło być właśnie przez antybiotyki, że zaburzają działanie pigułek. No, ale co zrobić, pretensje mogli mieć wyłącznie do siebie, przecież każda reklama lekarstwa kończy się wypowiedzianą na jednym tchu przestrogą, że *przedeżyciennależyzapoznaćsięztreścią ulotkidolaćzonejdoopakowania*.

Z jednym dzieckiem i tak ledwo wiązali koniec z końcem. On zarabiał śmiesznie mało, a Ala, która była nauczycielką geografii w technikum, jeszcze mniej. W kawalerce, którą dostał w spadku po dziadkach, mieścili się na styk: siedząc we troje przy stole w mikroskopijnej kuchni, dotykali się łokciami. Ala zaproponowała, że może wprowadziliby się z powrotem do jej rodziców, którzy mieli domek w Jabłonnie. Radosław propozycję tę stanowczo odrzucił, używając języka, który nie przystoi funkcjonariuszowi służb porządkowych.

Pozostawało jeszcze jedno wyjście: aborcja. Słowo, które w Polsce wypowiadano tylko szeptem, w domowym zaciszu, nie patrząc sobie nawzajem w oczy, tyłem do wiszącego na ścianie krucyfiks. Jeszcze wczoraj Radosław był zagorzałym przeciwnikiem tego zabiegu. Dziś rano liczył, ile będzie ich kosztował wyjazd Ali do kliniki w Czechach. Odpowiedź brzmiała: dużo więcej, niż mieli odłożone na koncie oszczędnościowym. A czas gonił...

Trzy tysiące złotych. Radosław miał tydzień, żeby zdobyć te pieniądze, potem będzie mógł już zacząć wypełniać wniośki do programu 500 plus. Tylko skąd wytrzasnąć tyle kasy? Pomodliłby się o wstawiennictwo, ale w tej sprawie raczej nie wypadało.

– Ej, Radek! – zawołał Jarek, kolega z posterunku, wiecznie uśmiechnięty, rumiany chłopak. Kucał przy wraku jeepa, zaglądał do środka. – Chodź no tu na chwilę!

Posterunkowy Radosław Gralczyk przywiązał koniec taśmy do latarni i podszedł do zgniecionego auta. Z okna wystawała ręka denata; błyszczał na niej drogi zegarek, sekundnik drgał w miejscu.

– No? – spytał Gralczyk tonem, który wyrażał raczej zniecierpliwienie niż zainteresowanie.

– Spójrz no – powiedział Jarek z dumną miną prestidigitatora, który zaraz wyciągnie królika z kapelusza. – Poznajesz jegomościa?

Radosław Gralczyk zajrzał do środka. Wtulony w poduszkę powietrzną mężczyzna wyglądał, jakby smacznie spał. Dopiero kiedy spojrzało się niżej, na zmiażdżone nogi i przesiąkniętą krwią bluzę, widać było, że z tego snu już się nigdy nie obudzi. Gralczyk przyglądał się jego twarzy. Lekko zadarty nos, duże, mięsiste usta, pieprzyk ukryty w brwiach... Rzeczywiście, kiedyś go już widział.

– Czekaj, czekaj. – Olśniło go. – Czy to nie ten z telewizji? Boczek?

– Buczek! Rysiek Buczek! – powiedział Jarek z uśmiechem. – Ale numer, co? Ciekawe, gdzie się chłop tak śpieszył...

Gralczyk już nie słuchał. Wstał, otrząpał ręce, ruszył szybkim krokiem w stronę zaparkowanego na poboczu radiowozu.

– Ej! Gdzie idziesz?

– Zapalić – powiedział posterunkowy Gralczyk i sięgnął po telefon.

Julita zastanawiała się, co napisać. Nauczyła się już, że najlepiej klikają się artykuły należące do jednej z trzech kategorii: „celowanie, oranie i punktowanie”, „szokowanie i niedowierzanie” albo „zgadywanie i domyślanie”. Najłatwiej pisało się teksty z pierwszej kategorii. Wystarczyło wziąć czyjś kontrowersyjny, zabawny albo chociaż ordynarny komentarz: dajmy na to, Giertych przejechał się po Kurskim albo Rozenek-Majdan po Gretkowskiej. Potem cytaty opatrywało się przeklejaną ze schowka formułą: „X w swoim stylu odnosi się do Y. Jak zawsze w punkt!”, „Musicie to przeczytać! X zaorał Y!”, albo ewentualnie „X odpowiada na krytykę Y. Celnie!”. Jako że celebrytów było od metra – w tej kategorii mieścili się zarówno aktorzy, piosenkarze i politycy, jak i finaliści programów reality show i trenerzy fitness – a każdy miał konto na jakimś portalu społecznościowym i pragnął zabłysnąć, tego rodzaju tekstów można było wysmażyć każdego dnia tuziny, korzystając głównie z komend „Ctrl + c” i „Ctrl + v”.

Napisanie artykułu z serii „szokowanie i niedowierzanie” też nie stanowiło wyzwania, tyle że tutaj trzeba było mieć naprawdę mocny materiał. Po tym, jak ludzie zobaczyli uśmiechniętą mamę Madzi w bikini na koniu, nie łatwo było już ich zaskoczyć. Ale raz na jakiś czas brukowce znajdowały jakiś naprawdę smakowity kąsek: pociąg wjechał w autobus albo autobus w pociąg, ktoś kogoś zarąbał siekierą. Wtedy trzeba szybko wrzucić materiał do siebie na stronę, dać duże czerwone litery, wykrzykniki, zrobione z bliska zdjęcie. I nic tylko zbierać kliknięcia.

Wreszcie „zgadywanie i domyślanie”, czyli artykuły grające na ambicjach czytelnika. Tu treść była obojętna, kluczowe było dodanie na końcu tytułu zwrotu: „Nigdy nie zgadniesz!”, „Nikt się tego nie domyśli!” albo ewentualnie „Ciekawe, czy odgadniesz?”. Z pozoru proste, ale trzeba było naprawdę dobrze czuć czytelnika, żeby przewidzieć, co chwyci, a co nie. Do „zgadywania i domyślania” zaliczały się też quizy – o meksykańskiej

kuchni, tropikalnych owocach albo świstakach, wszystko jedno. Zachęcić do kliknięcia można było wyzwaniem („Ciekawe, czy zdobędziesz komplet punktów!”), obietnicą pomocy („Z tymi podpowiedziami na pewno sobie poradzisz!”) albo budząc w odbiorcy przekonanie, że pożytecznie spędzi czas („Poniedziałkowa rozgrzewka umysłu!”). Quizy klikały się niezawodnie – każdy chce się przecież poczuć mądry – ale długo się je wymyślało, co najmniej godzinę, dwie, więc rachunek zysków i strat wcale nie był taki oczywisty.

Niezależnie od kategorii, szanse na sukces podnosiła obietnica zdjęć, dlatego na końcu tytułu zawsze warto było zareklamować kapitałikami GALERIĘ ZDJĘĆ albo jeszcze lepiej: MEMY INTERNAUTÓW. Oczywiście, fotografia nie mogła przedstawiać byle czego, doboru trzeba było dokonać w oparciu o internetową piramidę Masłowa: u podstawy cycki, w środku krew, a na wierzchołku kotki.

Ostatecznie Julita zdecydowała się przygotować quiz typu tożsamościowego, czyli „Jakim miastem/ samochodem/ warzywem strączkowym jesteś?”. Tutaj można było popuścić wodze fantazji, pobawić się w psychologa, czasem nawet pokusić się o abstrakcyjny humor spod znaku Monty Pythona. Julita nie zdążyła jednak nawet skończyć pierwszego pytania, kiedy usłyszała głos naczelnej, Magdy Mackowicz.

– Wójcicka! Do mojego biura, raz, raz!

Julita posłusznie ruszyła w stronę przeszklonego pokoju. Mackowicz, jak zwykle, pracowała wielozadaniowo. Gadała przez telefon, przyciskając go policzkiem do ramienia, bo ręce miała zajęte: w jednej trzymała długopis, którym pośpiesznie coś notowała, w drugiej ścisnęła gumową piłkę. Jednocześnie nie spuszczała wzroku z telewizora ustawionego na TVN24, a stopą obutą w pomarańczowy trampek próbowała wytrzeć z wykładziny plamę po kawie.

Julita usiadła naprzeciwko biurka i czekała, aż Mackowicz skończy rozmowę. Nie mając nic lepszego do roboty, odwróciła

wzrok w stronę telewizora. Pasek u dołu ekranu był biały, znaczy nie działało się nic wartego uwagi. W studiu siedzieli etatowi eksperci, którzy czuli się swobodnie w rozmowie na każdy temat, prorocy, przed którymi przyszłość nie znała tajemnic. Teraz dyskutowali o Sądzie Najwyższym, ale jakie dokładnie stawiali tezy i diagnozy, nie można było stwierdzić, bo dźwięk był wyłączony.

– Piętnaście minut, tak? – Mackowicz podrapała się ołówkiem po karku. – Dobrze... Dobrze... Rozumiem.

Julita spojrzała na Mackowicz. Jak zwykle była ubrana modnie: poszarpane džinsy, bluza z fajnym nadrukiem, do tego okulary o grubych fioletowych oprawkach. Jak zwykle sprawiała też wrażenie wczorajszej: oczy miała zaczerwienione, nieumyte blond włosy spięte w kucyk, lakier schodził z paznokci.

– Aha... Aha... – Julita знаła ten ton, Mackowicz była już zniecierpliwiona i chciała szybko skończyć rozmowę. – No niech będzie. Tak, tak... Do usłyszenia.

Redaktorka rozłączyła się i położyła telefon obok dwóch innych. Wyciszone komórki wibrowały i podskakiwały na blacie; widok przywodził na myśl wyciągnięte na brzeg ryby, które rozpaczliwie próbowały wrócić do wody. Mackowicz rzuciła okiem, żeby sprawdzić, kto dzwoni, po czym, uznawszy najwyraźniej, że nikt ważny, odwróciła się do Julity.

– Słuchaj... Mogę sobie przy tobie odciągnąć? Sprawa jest pilna, a ja dłużej nie wytrzymam...

– Pewnie – powiedziała Julita z nieszczerym uśmiechem.

– Ufff, dzięki... – Mackowicz wyciągnęła z szuf lady biurka laktator i podwinęła bluzę. – Jeszcze minuta i bym pękła.

Laktator zaczął syczeć i świstać niczym respirator Dartha Vadera, a Mackowicz odetchnęła z wyraźną ulgą. Niedawno urodziła drugie dziecko, chłopca. Wszyscy, łącznie z wicenaczelnym Adamem, zakładali, że nie będzie jej przynajmniej pół roku, może nawet rok, ale Mackowicz wróciła po trzech miesiącach.

– No dobra. – Szefowa odchyliła się w krześle. – Słyszałaś o tym wypadku na Jagiellońskiej?

– Pewnie. Piotrek pisał o nim do działu „Warszawa”.

– Widzisz, a okazuje się, że to temat na główną. – Redaktorka uśmiechnęła się tryumfalnie. – Dostaliśmy cynk od anonimowego świadka. Wiesz, kto siedział za kółkiem? Ryszard Buczek.

– Ooo...

– Wynajęliśmy fotografa, jest już na miejscu. Mówi, że dostaniemy zdjęcia za piętnaście minut.

Mackowicz przystawiła laktator do drugiej piersi, skrzywiła się z bólu.

– I nikt inny o tym jeszcze nie wie?

– Nie.

– Nawet „Fakt” i „Superak”?

– Na razie nie... Ale to kwestia czasu. Mogę się założyć, że ten chłopak z agencji sprzeda im zdjęcia, jak tylko dostanie od nas przelew. Dlatego trzeba się śpieszyć... I dlatego to ty napiszesz artykuł.

– Z chęcią, ale... – Julita się zawahała. – Wiesz, Piotrek już siedzi w temacie, kojarzy okoliczności, więc może jednak dać to jemu...

Mackowicz wyciągnęła laktator spod bluzy, postawiła go na biurku. Julita odwróciła wzrok. Nie wiedzieć czemu, widok ludzkiego mleka ją brzydził. Było jakieś takie zwierzęce, nieprzystające do świata komputerowych ekranów i szklanych biurowców.

– Piotrek będzie siedział nad tym pół dnia i zastanawiał się, czy lepiej dać przydawkę rzeczowną, czy przyimkową. Nie mamy na to czasu. Jest jedenasta dziesięć... Zdjęcia dostaniesz około jedenastej dwadzieścia. Gotowy tekst ma wisieć na stronie jedenasta trzydzieści. Jakies dwieście, góra trzysta słów. Jasne?

– Ale...

– Żadnych „ale”. Do roboty.

Julita pokiwała głową, podniosła się z krzesła. Miała już wyjść z pokoju, kiedy usłyszała głos szefowej.

– Julita?

– Tak?

– Nie próbuj więcej być dobrą koleżanką – powiedziała redaktorka, nie podnosząc wzroku znad wyświetlacza telefonu. – Bo nikt ci się tu za to nie odwdzięczy.

Posterunkowy Radosław Gralczyk wyglądził formularz przypięty klipsem do pokrytej granatowym skajem podkładki, po czym utkwił wzrok w nagłówku: PROTOKÓŁ OGŁĘDZIN MIEJSCA WYPADKU. Kiedy wypełnił ten dokument po raz setny, poszedł po pracy z kolegami z posterunku na piwo. Kiedy wypełnił go po raz tysięczny, zaczął poważnie myśleć o złożeniu wypowiedzenia.

Policjant wyregulował kąt nachylenia fotela, opuścił szybę w oknie o trzy centymetry, a następnie uniósł o dwa, po czym wyciągnął ze schowka na rękawiczki ołówek i temperował go z namaszczeniem, aż osiągnął idealny stożek. Wreszcie, czując na sobie wzrok siedzącego obok Jarka, zaczął wypełniać formularz.

Oględziny rozpoczęto: 8:22 rano, 15.10.2018. Czy położenie (pojazdów, osób, przedmiotów) do chwili rozpoczęcia oględzin było zmieniane? Nie. Przyjęto obowiązujący dalej kierunek patrzenia: Północ. Punkt odniesienia: Pokrywa studzienki kanalizacyjnej o numerze K1238. Odcinek w miejscu wypadku: Łuk w prawo, teren: Spadek, rodzaj: Asfalt, jezdnia: Gładka, obowiązujące ograniczenie prędkości: 60 kilometrów na godzinę.

Po pytaniach zamkniętych przyszła pora na „Opis sytuacji wypadkowej i śladów zdarzenia”. Posterunkowy Radosław Gralczyk ziewnął, przetarł oczy, po czym zaczął pisać, przywołując z pamięci wyuczone zwroty i formułki. „Z polecenia dyżurnego KRP VI Praga Północ udano się na ulicę Jagiellońską 65/57. Na miejscu zastano zgłaszającego: Leon Zdzisław Nowiński, syn Jana i Anny, numer dowodu osobistego..., który był świadkiem wypadku drogowego, w którym uczestniczył Ryszard Buczek,

syn Waldemara i Haliny... Pojazd: Jeep Grand Cherokee, kol. czarny, nr rej. WO MIGDAL, r. prod. 2014...”.

– Patrz – mruknął Jarek, wyglądając za okno. – Sępy już się zleciały.

Radosław Gralczyk podążył za jego wzrokiem. Po przeciwnej stronie jezdni, tuż za taśmą policyjną, stał mężczyzna w czarnej kurtce przeciwdeszczowej. Trzymał w rękach aparat fotograficzny z ogromnym obiektywem. Policjant poczuł nagły ścisk w żołądku, krew odpłynęła mu z twarzy. Całe szczęście Jarek patrzył w drugą stronę.

– Musi wiedzieć, że to był Buczek. Zwykłego wypadku by nie cykał.

– Ktoś musiał im nadać... – Gralczyk pochylił się nad formularzem, potarł nos końcówką ołówka. – Pewnie chłopaki z karetki.

– Pawulony jebane... – Jarek odłożył na bok podkładkę z rozpoczętym szkicem miejsca wypadku, otworzył drzwi i wystawił za nie nogę. Nogawka podjechała do góry, odsłaniając bladą łydkę ściśniętą zbyt mocno poliestrową skarpetką.

– A ty gdzie?

– A wylegitymuję go, cholera. Ktoś im musi przytrzeć nosa.

– Aha – mruknął posterunkowy Gralczyk. – A potem zrobisz nam zdjęcie, jak podjeżdżamy radiowozem po kurczaki, tak jak tym chłopakom z drugiego rejonowego, i będzie afera na całą Polskę. Daj spokój... Zresztą, zaraz kończę.

Jarek, który znał menu z KFC na wrywki, zastygł na chwilę z nogą w kałuży, po czym schował ją do środka i trzasnął drzwiami, aż zatrzęsł się radiowóz. Mamrotał coś jeszcze o hienach i szmatławcach, że skończą się te harce, jak rząd wreszcie zrepolonizuje media, ale Radosław Gralczyk już go nie słuchał. Nie mógł się doczekać, aż skończy pisać raport, wróci na komisariat, usiądzie do komputera i sprawdzi stan konta bankowego.

„W wyniku przeprowadzonej ze świadkiem rozmowy wynika”, kontynuował opis Gralczyk, „że kierujący znacznie

przekroczył dozwoloną prędkość i utracił kontrolę nad pojazdem, uderzył w barierę ochronną...”. Potem jeszcze parę słów o stanie pojazdu (rozległe uszkodzenia nadwozia oraz podwozia) i obrażeniach pasażera (stwierdzono zgon na miejscu) i wreszcie można było podsumować zdaniem, które szanujący się policjant z drogowki mógłby wyrecytować o każdej porze dnia i nocy: „Oględziny zakończono w niezmienionych warunkach atmosferycznych”.

Gralczyk postawił kropkę, podał protokół Jarkowi do przeczytania i podpisania. Ile papierologii, pomyślał, ile zbędnego bełkotu. Gdyby to zależało od niego, całą sytuację opisałby znacznie zwięźle: bogaty dupek myślał, że skoro ma zajebisty samochód, to jest zajebistym kierowcą, no i się pomylił. Dobrze chociaż, że dołem akurat nikt nie jechał, że ten jego wychuchany jeep rozbił się o asfalt, a nie spadł na inne auto.

Jarek oddał mu podpisany protokół. Gralczyk przekręcił kluczyk w stacyjce, skinął głową strażakom i ruszył w stronę komisariatu. Po fotografii nie było już śladu.

Julita szła do biurka na ugiętych nogach. Dostała do rąk wiadomość z ostatniej chwili, prawdziwy *breaking news*! To w Meganewsach nie zdarzało się prawie wcale. Portal nie wysyłał swoich dziennikarzy w teren, chyba że zaliczyć do tej kategorii wyjścia na sponsorowane wydarzenia typu premiera kolejnej komedii romantycznej czy otwarcie nowej knajpy. Wszystko załatwiała się przez internet albo telefon, teksty do działu „Informacje” pisali na podstawie depeszy PAP-u albo artykułów z większych portali. Oczywiście, czasem ktoś wysłał im cynk na skrzynkę kontaktową, ale zwykle były to sprawy mniejszej wagi, żeby nie powiedzieć całkiem błahe: ot, zdjęcie Iksińskiej bez makijażu, taki a taki zaparkował swoje ferrari na miejscu dla niepełnosprawnych. Ale śmierć Buczka, i to w tragicznym wypadku, to już zupełnie co innego, duży kaliber, artykuł, który będą cytować inne portale... I który ma napisać w dwadzieścia minut.

Julita usiadła za biurkiem, przycisnęła palce do skroni, próbowała zebrać rwące się myśli. Dla kogoś z jej pokolenia skojarzenie z Ryszardem Buczkim mogło być tylko jedno: *Niebieskie Migdały*. Natychmiast przypomniały jej się niedzielne obiady u dziadków: rosół, zielony od drobno posiekanej pietruszki, schab z buraczkami, które zawsze lądowały na obrusie, na deser posypane cukrem pudrem placki z jabłkiem. Potem dorośli zostawali przy stole rozmawiać o poważnych sprawach, a dzieci siadały przed telewizorem ustawionym na Dwójkę. Punktualnie o piętnastej z głośników leciała piosenka, którą do tej pory znała na pamięć:

*Każdy, duży i mały
Czasem ma w głowie
Niebieskie migdały!
Wiecie, że marzenia
Przychodzą bez proszenia!
Czy się chce, czy też nie,
Czasem trudno skupić się,
Kiedy myśli są daleko
Za górami i za rzeką,
Ku przygodzie same rwą!*

Potem błyskały światła, syczały dymiaraki i na scenę wychodził Ryszard Buczek w obszytym niebieskimi cekinami fraku, absurdalnie wysokim cylindrze i z gigantyczną muchą w złote grochy. Formuła była prosta, z dzisiejszej perspektywy można by nawet rzec: prostacka. Co tydzień do studia przychodziło troje dzieci i opowiadało Buczkowi (czy raczej Panu Migdałowi, bo w tej roli występował) o swoich marzeniach. Jasio z Pucka, lat sześć, chciał zostać strażakiem, Anieli z Radomia, lat osiem, pragnęła pojechać do Australii, a Maksio, lat pięć – polecieć na Księżyc.

Pan Migdał wysłuchiwał opowieści, zadawał zabawne pytania, łypał okiem zza monokla, a potem wypowiadał znane każdemu dziecku w Polsce zaklęcie: „Czary mary, hokus pokus,

czas korzystać z życia pokus!”, po czym przystępował do realizacji marzeń. I tak do Jasia z Pucka przychodzili strażacy i pokazywali, jak używać gaśnicy, Anieli głaskała wypożyczonego z zoo kangura, a Maksio w stroju kosmonauty chodził po studiu oklejonym aluminiową folią, które miało udawać powierzchnię srebrnego globu.

Proste, ale na dzieciach robiło wrażenie. W latach dziewięćdziesiątych *Niebieskie Migdały* oglądały miliony; podczas emisji wymierały place zabaw i podwórka. Choć później popularność programu powoli, ale konsekwentnie malała, TVP nigdy nie zdjęła go z ramówki. Niezależnie od tego, czy telewizją rządziła prawica, czy prawica przez historyczne zaszłości udająca lewicę, Pan Migdał co sobotę realizował dziecięce marzenia. Te zmieniły się z czasem (mało kto myślał dziś o karierze strażaka, chłopcy chcieli raczej zostać raperami, a dziewczynki modelkami), podobnie jak sam Pan Migdał. Buczek, kiedyś słynący z urody amanta, wyraźnie się zaokrąglił, włosy przyprószyła mu siwizna, a czerwony nos sugerował, że aktor sam nie unikał „życia pokus”.

Dziś, choć *Niebieskie Migdały* cieszyły się podobną oglądalnością, co kanał z telezakupami, Ryszard Buczek był wciąż postacią rozpoznawalną. Spotkało go bowiem najwyższe w czasach internetu wyróżnienie – stał się memem. Parę lat temu ktoś wrzucił do sieci jego zdjęcie w stroju Pana Migdała z podpisem: „hokus pokus, czary mary, lecis, jędzo, zmywać gary”. Z jakiegoś powodu ten obrazek stał się sensacją i wkrótce media społecznościowe zostały zalane przez jego klony podpisane innymi ordynarnymi rymowankami, na przykład „czary mary, hokus pokus, w dupie mi zakwita krokus” albo „ene, due, rike, fake, palisz fajkę z crackiem”. W odróżnieniu od innych internetowych sensacji, które popadają w niepamięć równie szybko, jak powstają, zabawa z rymowankami Pana Migdała trwała na tyle długo, że przebiła się do mainstreamu. Do Buczka odezwał się operator sieci komórkowej, który od zawsze desperacko próbuje przekonać młodzież, że jest *cool*, i zakontraktował go jako twarz

swojej sieci. Od tego momentu Buczek stał się integralną częścią polskiego krajobrazu, jak pomniki papieża w skali trzy czwarte do jednego czy domki kryte jaskrawą blachodachówką. Uśmiechał się z plakatów i billboardów, z supermarketowych gazetek i popupów wyskakujących w internetowych przeglądarkach. „Najlepsza oferta stała, słowo Pana Migdała!”

Ale co Buczek robił wcześniej, przed reklamami i telewizją? Julita kojarzyła, że był aktorem, ale nijak nie mogła sobie przypomnieć, w czym grał – zresztą, nic dziwnego, jak większość z jej pokolenia darzyła polską kinematografię głęboką pogardą i zamiast kolejnej rodzimej produkcji o narodowych traumach wołała *Grę o tron* albo *House of Cards*.

Zegarek w rogu ekranu pokazywał 11:14, Julita uznała więc, że ma jeszcze parę minut na pogłębiony risercz, i wpisała nazwisko Buczka do Wikipedii. Nie odrywając wzroku od komputera, notowała najważniejsze fakty: „urodzony w 1965, Nowy Sącz... Studiował na Wydziale Aktorskim PWSFTviT w Łodzi... Występował na deskach Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi i Teatru Powszechnego w Warszawie... Debiut filmowy w *Podziemnym życiu* (1981), gdzie wcielił się w Waława... Nagrodzony Orłem Polskiej Akademii Filmowej za rolę Archaniola w filmie *Boskie Owieczki* (2003)...”.

Nim Julita przewinęła całą filmografię, usłyszała ciche *ping*. Dostała emaila. Przełączyła się na skrzynkę pocztową.

od: Jacek Walewski <jacekwalewski@turbofoto.com>

do: Meganewsy <info@meganewsy.pl>

data: 15 października 2018 11:18

temat: Zdjęcia z wypadku Buczka

Hej!

Przesyłam zamówione zdjęcia. Moim skromnym zdaniem wyszły całkiem nieźle ;)

Pozdrawiam,

Jacek

Julita zaczęła przeglądać fotografie, szybko, jedna po drugiej, bo czas gonił. Wyrwa w barierce. Leżący na boku samochód, przez wybite okno, spomiędzy poduszek powietrznych, wystaje ręka. Zbliżenie na tablicę rejestracyjną. Zbliżenie na urwaną felgę. Zbliżenie na zakrwawioną dłoń, stłuczony zegarek, wokół skrzą się drobiny szkła. Ujęcie z taśmą policyjną na pierwszym planie. Strażacy rozcinający wrak wozu piłami. Sypiące się iskry. Stojący na poboczu radiowóz, w środku dwóch policjantów pochylonych nad papierami.

Julita zamrugała kilka razy, jakby chciała pozbyć się upiornych powidoków, upiła zimnej kawy. Które zdjęcie wrzucić na stronę? Oczywiście, najlepiej klikałyby się te, gdzie widać trupa, ale wiedziała doskonale, że nie może ich użyć. Już pierwszego dnia pracy Mackowicz wbijała jej do głowy: tylko pamiętaj, żadnych cycków, żadnych nieboszczyków. Julita była wtedy mile zaskoczona. Czyli te Meganewsy to jednak nie jest taka zupełna szmata, pomyślała, jak te brukowce, które wrzucają na jedynkę ciała dziennikarzy wojennych z dziurami po kulach albo porąbane na kawałki dzieci, jednak są tu jakieś zasady, podstawowa przyzwoitość. Dopiero kilka miesięcy później dowiedziała się, że tej granicy nie wytyczała bynajmniej moralność, tylko algorytmy Google'a. Gdyby zaklasyfikowały ich portal jako stronę publikującą materiały drastyczne i/lub pornograficzne, Meganewsy zostałyby nieodwołalnie usunięte z programu reklamowego AdSense – co byłoby równoznaczne z bankructwem strony. „Fakt” i „Super Express”, które wciąż czerpały większość zysków z wydań papierowych, mogły sobie po prostu pozwolić na to, żeby ignorować cenzorów z Doliny Krzemowej. Ot, cała różnica.

Ostatecznie Julita wybrała zdjęcie z rozcinania wraku. Klęczący przy aucie strażacy zasłaniali rękę Buczka, snop iskiek przyciągał wzrok i dodawał całej sytuacji dramatyzmu. Zegar pokazywał 11:21, miała jeszcze dziewięć minut na napisanie tekstu. Julita wygięła zaplecione palce, strzelając stawami, puściła Rammsteina na słuchawkach i wzięła się do pracy.

Leon Nowiński patrzył na zdjęcia kiszzonej kapusty. Kiszona kapusta w beczce. Kiszona kapusta w misce. Kiszona kapusta w słoiku. Kiszona kapusta na talerzu, koło schabowego. Przewijał stronę z grafikami w dół, na próżno szukając inspiracji. Otwarty na drugim ekranie projekt etykiety – „sok_v22_final.psd” – składał się na razie z dwóch linii i białego tła.

Leon zaklął pod nosem. Za cholerę nie mógł się skupić, nic nie przychodziło mu do głowy. Wymyślenie etykiety dla „młodzieżowego soku z kapusty” stanowiło niezłe wyzwanie w normalnych okolicznościach – a co dopiero dziś.

Dotarł do pracy dopiero po jedenastej. Wpierw przesłuchiwała go policja, potem dziennikarze z jakiejś lokalnej telewizji. Miał nadzieję, że kiedy przedstawi szefostwu przyczynę spóźnienia, puszcza go na resztę dnia do domu, żeby odsapnął i doszedł do siebie. Ale nie. „Leon, stary”, powiedział Michał, product manager, „No ja rozumiem, no straszne, ale przecież wiesz, że w Olsztynku drukarze już grzeją sprzęt. Musimy im wysłać tę etykietę do końca dnia, bo inaczej nie rzucimy produktu w terminie, a akcji marketingowej już nie przesuniemy. To jak? Możemy na ciebie liczyć?”. Pytanie było retoryczne. Oczywiście, że mogli. Leon miał kredyt.

No więc siedział przy biurku, patrzył na zdjęcia kapusty, ale przed oczami miał ciągle wrak samochodu, czuł zapach krwi i oleju silnikowego, słyszał zgrzyt metalu. Co tam się właściwie stało? To nie było tak, że facet się nie wyrobił. On nawet nie próbował skręcać – pojechał prosto na barierkę, prując grubo ponad sto na godzinę. Zagapił się? Zemdał?

Leon potarł czoło, przejechał dłońmi po nieogolonych policzkach i spojrzał na notatki z pomysłami. Ludzik w kształcie beczki kiszzonej kapusty na deskorolce? Potworek z kapusty, taka swojska wariacja na temat Latającego Potwora Spaghetti? Chłopak i dziewczyna połączeni trzymaną w ustach nitką kiszzonej kapusty, w pozie psów z *Zakochanego kundla*?

W końcu postanowił zrobić projekt według pierwszego pomysłu. Jezusie Maryjo, myślał, dorysowując beczce nogi w tenisówkach, pięć lat studiów na ASP, stypendium, nagrody od rektora, wystawy, tyle pracy... I proszę, jakie mam z tego, kurwa, kołacze.

– Ej, Leon... – odezwał się Ignacy, spec od reklamy. – Weź to zobacz.

– Nie teraz. Robię człowieka-beczkę.

– Co?

– Człowieka-beczkę. To młodzieżowe – powiedział Leon, kreśląc nos w kształcie korka. – Spytań Michała, wytłumaczy ci.

– Ej, ja poważnie. Chodzi o ten twój wypadek. Słyszałeś, kto siedział za kółkiem?

– No?

– Ryszard Buczek. Wiesz, Pan Migdał.

Leon okrzyknął się na krześle, podjechał do biurka Ignacego. W przeglądarce miał otwarty artykuł z portalu Meganewsy.pl. Wielka czerwona czcionka, mnóstwo wykrzykników, a pod nimi zdjęcia. Z lewej strony: Buczek z czasów świetności *Niebieskich Migdałów*, z cylindrem na głowie, tyle że w czerni i bieli. Z prawej: wrak auta, które kilka godzin wcześniej zobaczył we wstecznym lusterku.

**TRAGEDIA! Znany aktor, ulubieniec dzieci, Ryszard Buczek († 53 l.),
ZGINĄŁ W MAKABRYCZNYM WYPADKU DROGOWYM!!!**

[ZDJĘCIA]

TYLKO U NAS!!!

Julita Wójcicka

Ryszard Buczek († 53 l.), uwielbiany prowadzący programu *Niebieskie Migdały*, zginął dziś rano w MAKABRYCZNYM wypadku drogowym w Warszawie. Popularny aktor znacznie przekroczył dozwoloną prędkość w trakcie zjazdu z drogi S8 i uderzył w barierkę. Auto SPADŁO Z WYSOKOŚCI 15 METRÓW i jest zniszczone
NIE DO POZNANIA! Znany wszystkim Pan Migdał NIE MIAŁ SZANS

przeżyć takiego wypadku. Policja stwierdziła ŚMIERĆ NA MIEJSCU, a strażacy musieli użyć PIŁ MECHANICZNYCH, żeby wydobyć ciało!

Wieść o śmierci aktora na pewno zasmuci jego żonę, znaną z serialu *Babie Lato* aktorkę Barbarę Lipiecką-Buczek (40 l.), i syna Rafała (13 l.). Redakcja portalu MEGANEWSY.PL łączy się z nimi w bólu.

Leon nie doczytał artykułu do końca. Bez słowa wrócił do swojego biurka.

– No? – spytał Ignacy, jakby zawiedziony. – Nic nie powiesz?

– Żal faceta – odpowiedział Leon, doklejając becze z kiszoną kapustą szeroki uśmiech. – A artykuł obrzydliwy.

Julita nacisnęła przycisk „odśwież”. I jeszcze raz. I ponownie. Za każdym razem pod artykułem pojawiały się kolejne komentarze. Teraz było ich już ponad tysiąc: wyrazy żalu (bubu433: „Nie wierzę! Pan Migdał to moje dzieciństwo... Kurde, strasznie smutne wieści ;/”), kondolencje (aga.pomorze: „Pani Basiu, proszę się trzymać. Szczecinek zapala znicze dla pana Ryszarda [‘][‘][‘]”) i oczywiście obelgi (prosto_z_mostu: „POległ POprany aktożyna trzeba było nie brać orderu od Tuska złodzieju!”, praffdoffny: „PiSiory i nad martwym się pastwią, hjeny!”). Te ostatnie można było znaleźć pod każdym materiałem: o psie jeżdżącym na deskorolce, o Japończyku, który chciał wziąć ślub z robotem, czy o dyni-gigancie, która wyrosła w stanie Idaho; nieważne: inwektywy były nieodrodną częścią krajobrazu polskiego internetu, jak przykryte rozmiękłym papierem toaletowym gówno na brzegu mazurskiego jeziora albo mozaika wielokolorowych szyldów na drogach wyjazdowych.

W każdym razie tekst o śmierci Buczka klikał się tak, że aż kurzyło. Temat podchwyciły konkurencyjne portale, te wszystkie pudelki, plotki, pomponiki i kozaczki, ale też „Super Express” i „Fakt”, a nawet poważne tytuły: „Wyborcza”, „Newsweek”, „Polityka”. Co prawda rzadko kiedy pisano, gdzie informacja pojawiła się po raz pierwszy, nie mówiąc o podaniu

nazwiska autorki, ale świadomość, że to właśnie ona, Julita Katarzyna Wójcicka z Żukowa, pchnęła tę całą maszynę medialną do przodu, napawała dumą. Mimo wszystko.

– Pięć tysięcy lajków, grubo ponad tysiąc share’ów... – Piotrek pokiwał głową z uznaniem. – No, no, Wójcicka. Gratuluję. Jeszcze trochę i Pulitzer będzie twój.

Julita uśmiechnęła się i podziękowała, choć nie była do końca pewna, czy Piotrek tylko żartuje, czy się z niej nabija. Była przecież świadoma, że sam artykuł był bezwartościowym zlepkim wytartych formułek i dramatycznych przymiotników. Na studiach taki tekst by wyśmiano... Ba, nawet jej polonistka z podstawówki, niech jej ziemia lekką będzie, dałaby za niego pałę z wykrzyknikiem, albo trzema... No, ale jak mawiała naczelna Mackowicz, zadaniem dziennikarza było pisanie artykułów, które ludzie czytają, a nie które powinni czytać.

Teraz właśnie Mackowicz wprowadzała tę zasadę w życie. Skoro lud chce Buczka, trzeba dawać Buczka, dużo i szybko. Cały zespół dostał zadanie pisania tekstów na jego temat: wypowiedzi przyjaciół Buczka, najlepsze role Buczka, najgorsze role Buczka, żona Buczka, syn Buczka, pies Buczka i chomik Buczka, cokolwiek, byle z Buczkiem. Parę zdań, zdjęcie i tekst łądował w bocznej szpalcie portalu, gdzie generował tak cenne kliki, walutę internetowego dziennikarstwa.

Pod koniec dnia ruch na Meganewsach zaczął się zmniejszać. Nie dlatego, że ludzi przestała nagle interesować tragiczna śmierć aktora, po prostu temat przejęli więksi gracze, którzy mieli większą bazę czytelników, więcej kanałów promocji, więcej pieniędzy, żeby wykupić zdjęcia Buczka z prywatnych zbiorów. Temat przestał być ich *ekskluzywem*.

– Dziękuję wszystkim za włożony wysiłek – powiedział wicenaczelny Adam na wieczornym kolegium. Jak zwykle przytulał. – Odnotowaliśmy dzisiaj ponad trzysta tysięcy odsłon i blisko sto tysięcy unikalnych odwiedzin. Zyskaliśmy nowych fanów na wszystkich platformach społecznych: Facebooku,

Twitterze, Instagramie i snapie. Temat Buczka powoli się eksploatuje, ale jutro możemy go jeszcze spokojnie pociągnąć. Kto przychodzi na rano? Piotrek? Okej... „Super Express” ma puścić wywiad z wdową po Buczku. Jak tylko wrzucą go do siebie na stronę, chcę mieć o tym tekst na głównej, tak? No, dobra robota. Spokojnej nocy i do zobaczenia.

Biuro zaczęło się opróżniać. Gasły monitory, pikał czytnik kart przy wyjściu, trzaskały drzwi. Pani Halinka, sprzątaczką o zniszczonej twarzy i złotym sercu, szurła odkurzaczem po wykładzinie, nucąc coś pod nosem. Natalia, która zostawała w biurze na nocny dyżur, zalewała wrzątkiem zupkę w proszku, rozsiewając wokół aromat glutaminianu sodu.

Julita wciąż tkwiła przy komputerze. Powinna już się zbierać, ale Marynarska była wciąż zakorkowana, a poza tym... Nie mogła się zebrać do tego, żeby zakończyć ten dzień, postawić kropkę. Tekst o Buczku był największym sukcesem w jej karierze. Oczywiście, dostała temat na tacy, nawet nie widziała wypadku na własne oczy, ale... Po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracę w Meganewsach, skoczyła jej adrenalina przy pisaniu, po raz pierwszy miała wrażenie, że przynajmniej otarła się o prawdziwe dziennikarstwo. Świadomość, że już po wszystkim, że jutro znów zacznie dzień od przeczesywania sieci w poszukiwaniu plotek o cellulicie i silikonie, była przytłaczająca.

Julita jeszcze raz odświeżyła stronę ze swoim artykułem, żeby sprawdzić, ile łapek w górę i polubień przybyło. Robiła to z niejasnym poczuciem winy, jak ktoś, kto przyrzekł sobie, że to ostatnia czekoladka, a mimo to pięć minut później sięga po następną. Sama śmiała się z obsesji Adama na punkcie statystyki, pomstowała przy porannej kawie na prowadzony przez niego dyktat heatmapy – a kiedy nikt nie patrzył, obsesyjnie sprawdzała te same liczby co on. Ciekawe, pomyślała, czy gdyby za czasów Boba Woodwarda i Carla Bernsteina był już internet, też wciskaliby co chwila F5, żeby zobaczyć, ile osób postawiło serduszko albo zszokowaną buzię przy ich artykule o Watergate.

Coś tam jeszcze przybyło, ale niewiele, wszystko wskazywało na to, że pięć minut sławy Julity już się skończyło. Przetrawiała jeszcze komentarze, wyświetlając je od najnowszych. Jak to zwykle bywa, ich treść z upływem czasu coraz bardziej odbiegała od tematu, przeobrażając się nieuchronnie w coraz bardziej agresywne pyskówki. Za chwilę ktoś kogoś porówna do Hitlera i będzie można opuścić kurtynę.

Był jeden wyjątek. Komentarz od użytkownika the_inquisitive_deer_2000, opublikowany trzy minuty temu. Napisany w sposób jasny, zrozumiały, i nie licząc tak zwanego prawicowego przecinka, poprawnie: „Nie no, co za stek bzdur. Przecież nikt normalny nie wjechałby na zjazd z taką prędkością. Sprawa śmierdzi na kilometr. Ale pewnie, łatwiej napisać, że to był wypadek. Ludzie, obudźcie się!”.

No tak, brakowało jeszcze tylko teorii spiskowej. Wiadomo, przecież nikt nie ginie ot tak, po prostu. Pewnie zabiło go lobby szczepionkowców albo bojówki dżenderowe. Julita prychnęła, zamknęła przeglądarkę, odsłaniając otwarte pod spodem zdjęcie z wypadku.

Jeszcze raz spojrzała na wrak auta. Teraz, kiedy już nie musiała się śpieszyć, pisać tekstu na wyścigi... Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jest rzeczywiście nie tak. Nawet jeśli Buczek był mistrzem kierownicy, musiał wiedzieć, że wykonuje bardzo niebezpieczny manewr, że może się nie zmieścić. Gdzie tak pędził? I po co?

Julita zaczęła przeklikiwać zdjęcia: tym razem powoli, uważnie przyglądając się każdemu z nich, choć sama nie wiedziała, czego tak naprawdę szuka. Samochód był całkowicie zniszczony, ale nawet komisja smoleńska nie doszukałaby się we wraku śladów eksplozji. *Klik*, tablica rejestracyjna. Nic ciekawego. *Klik*, felga. Felga jak felga. *Klik*, zbliżenie na dłoń, zegarek. Julita, idąc przykładem telewizyjnych detektywów, od razu spojrzała na rozbity cyferblat i odczytała godzinę, na której zatrzymały się wskazówki... Po czym klepnęła się otwartą dłonią

w czoło. Przecież wiesz, o której doszło do wypadku, kretyńko, opieprzyła się w myślach, skup się!

Julita przeniosła wzrok na dłoń... I uniosła brwi. Paznokcie Buczka były w strasznym stanie. Połamane, zdarte, całe we krwi. Dziwne. Pracując w internetowym brukowcu, Julita zdążyła się napatrzyć na zdjęcia z wypadków drogowych. Obrażenia często były makabryczne: otwarte złamania, rozbite głowy, rozprute brzuchy. Ale palce? Palce, a już zwłaszcza paznokcie, zwykle wyglądały na nietknięte.

Dla pewności Julita przejrzała jeszcze nieopublikowane zdjęcia z kilku głośnych wypadków z ostatniego roku, które dostali z agencji. Miała rację. Wyszukała w internecie zdjęcia Buczka, zawężyła okres wyszukiwania do ostatniego miesiąca: Buczek na ścianie obejmujący żonę (gustowny szary garnitur, włosy zaczesane na żel, uśmiech), Buczek na kanapie programu śniadaniowego (dżinsy i bluza z kapturem, żywa gestykulacja, opowiada pewnie jakąś anegdotkę). Zrobiła zbliżenie na dłoń. Paznokcie zadbane, równo przycięte, jakby świeżo po wizycie u manikiurzysty.

– Mogę zabrać kubeczek? – Słyszając głos pani Halinki, Julita aż podskoczyła.

– Hm? Nie, nie, zaparzę sobie jeszcze kawy.

– Pani Julitko kochana... Dwudziesta jest. Pójdzie pani lepiej do domu, odpocznie.

– Oj... Dziś to ja bym chyba nie zasnęła.

– Coś się stało?

Julita wstała od biurka, podniosła kubek.

– Właśnie próbuję się dowiedzieć.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca